

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12 50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50 —. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. Kraków, 22 czerwca 1918. Nr. 24

Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie.

Angielskie haubice w zdobytym przez Niemców Roisel. (Fot. Bufa.)

Proces Legionistów w Marmarosz-Sziget.

W Marmarosz Sziget, mieście węgierskiem, wsławionem bohaterską walką Legionistów, rozpoczęła się 10. czerwca głośna rozprawa przeciw 114 oficerom i żołnierzom legionowym, oskarżonym o zbrodnię przeciw sile zbrojnej państwa, rokosz, bunt i dezercyę. Odbywa się ona w sali rozpraw przysięgłych tamtejszego sądu jawnie w języku niemieckim. Po wywołaniu sprawy i po stwierdzeniu należytego obsadzenia składu sądu, oraz po odczytaniu przez kapitana audytora Ustyanowicza rozkazu oskarżenia właściwego komendanta siódmej armii, postawił dr. Dwernicki wniosek przeprowadzenia rozprawy w języku polskim, motywując wniosek nieznajomością języka niemieckiego u większości oskarżonych i niemożnością wniknięcia bezpośredniego w duszę oskarżonego, którego słowa, przekładane przez tłumacza, nie mogą wiernie oddać każdego myśli i uczuć. Wniosek ten jednak został przez trybunał odrzucony.

Pierwszy zeznawał główny oskarżony, kapitan intendentury dr. Górecki, który w dłuższem przemówieniu dał szczegółowy opis krytycznej chwili i przedstawił nastrój wśród Legionistów, na podłożu którego wynikły inkryminowane fakty.

Kapitan Górecki, opisując pobudki swojego i swoich towarzyszów działania, podaje, że w dziennikach czytali odezwę polskiej komisyi wojskowej w Mińsku tej treści, gdzie wszystkie polskie oddziały bez różnicy, gdziekolwiek się znajdują, mają się oddać do rozporządzenia tej komisyi, która zajmuje się organizowaniem armii polskiej.

Dnia 15. lutego przed południem — opowiada oskarżony — otrzymałem instrukcyę tej treści, że mamy czekać aż do godziny czwartej po południu, czy od rządu polskiego przyjdzie dla nas jakikolwiek rozkaz lub wskazówka. Do Warszawy bowiem został po takie wskazówki posłany przez generała Zielińskiego major Nieniewski i ten mógł lada chwila dać jakąś wiadomość telegraficzną. W razie jej nadejścia miały być dalsze kroki wstrzymane, aż do tej chwili zaś zarządzała instrukcya tylko ogólne pogotowie do wymarszu. Gdyby kto pytał w jakim celu, miałem napomknąć, że odbędą się ćwiczenia, lub zmiana miejsca pobytu. Rzeczywiście co do odbycia ćwiczeń złożył tego samego dnia pułkownik Haller raport, który sam widziałem, zaś co do zmiany miejsca pobytu przyszedł tajny rozkaz z grupy Kossaka, którego treści nie znaliśmy.

Gdy do godziny czwartej nie było żadnej wiadomości, rozpacz nasza dosięgła szczytu. Zdawało się nam już pewnem, że niema już rządu polskiego i że jest bezcelowem czekać dłużej. Przed komendą o tej porze spotkałem kapitana Lewartowskiego i powiedziałem mu swoje zdanie. On mi się sprzeciwił i sądził, że należy czekać dalej, gdyż trudno-



Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: Zgliszcza spalonych magazynów francuskich pod Fismes (Fot. Bufa)



Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: Jeńcy francuscy i angielscy przy amerykańskim wozie sanitarnym zdobytym wraz z lazaretem na Mont Notre Dame (Fot. Bufa)



Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: Lazaret polowy przed zamkiem w Pinon, gdzie znaleźli pomieszczenie ciężko ranni Niemcy i Francuzi. (Fot. Bufa)

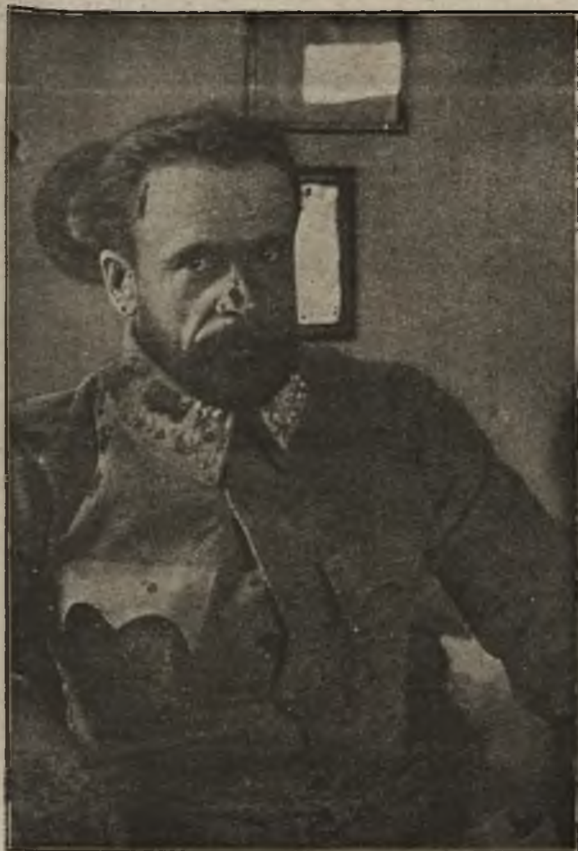


Proces Legionistów w Marmarosz-Sziget: Komendant Legionów, brygadyer Zygmunt Zieliński.

ści komunikacyjne mogły opóźnić wiadomość. — „Może masz słuszność — odparłem — ale nie znasz sytuacyi w pułkach. Wszyscy się boją rozbrojenia. Musimy odejść". Chciał na to coś jeszcze odpowiedzieć, lecz ja urwałem rozmowę: „Szkoda czasu, rzecz już postanowiona".

Zająłem się teraz przydzieloną mi częścią zadania. Miałem przygotować do wymarszu te części wojska które mi podlegały, jako szefowi intendentury. Wymarsz miał nastąpić o godzinie 8 minut 15 wieczór.

Około godziny 5 zwołałem podległe mi oddziały już to ustnie już to telefonicznie, już też rozkazami pisemnymi i uszeregowałem je według pewnego porządku, podając tylko ogólny kierunek. Około tej godziny przyszła dla mnie instrukcya



Proces Legionistów w Marmarosz-Sziget: Brygadyer Józef Haller.

żebym się zajął sztabem. Instrukcya nakazywała mi przedewszystkiem zameldować generałowi, że odchodzimy i prosić go, żeby objął nad nami komendę i poszedł z nami razem. Gdyby tego nie uczynił, miałem go wraz ze sztabem postawić pod straż. Instrukcya ta, dla mnie niesłychanie przykra, wydana była pod moim adresem ze względu na stanowisko, jakie zająłem na naradzie starszyzny dnia 13. lutego Rzecz ta, jako wojskowa, właściwie



Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: Zaskoczona podczas ucieczki nieprzyjacielska artylerya. (Fot. Bufa)

nie należała do mnie, który byłem tylko intendantem.

Poszedłem do komendy i zastałem tam generała Zielińskiego, nadporucznika Rogalskiego, majora audytora Garncarskiego, majora weterynarza Postolkę, kapitana Pomazańskiego, później przyszedł i kapitan żandarmeryi Okołowicz. Wykonując dane mi zlecenie, zwróciłem się do generała z meldunkiem o rozpaczliwym nastroju w wojsku, który zresztą sam generał już był dawniej zauważył. Powiedziałem, że sytuacya jest taka, iż ani chwili dłużej czekać nie można, gdyż mogą zajść wypadki, za które nikt nie może wziąć odpowiedzialności i prosiłem go, aby teraz objął nad nami, odchodzącymi komendę. Generał wpatrzył się we mnie osłupiałym wzrokiem. Wyglądał jak człowiek, na którego nagle spadło nieszczęście. Chwila ta była dla mnie niezmiernie bolesną. Czciliśmy bowiem wszyscy i kochali generała za to, że podczas ostatniego przesilenia legionowego na tle przysięgi, stanął na tem stanowisku, iż powinniśmy wytrwać aż do ostatka, póki najmniejsza jeszcze istnieje nadzieja, że Polska nas będzie potrzebować. Dzięki tej jego zachęcie zostałem przecież przy legionach wraz z innymi.

Generał stał przy krześle i wpatrywał się we mnie W tem sięgnął do kieszeni. Byłem przekonany, że wyjmie rewolwer i położy trupem mnie albo siebie. W pierwszej chwili nie wiedziałem co się ma dalej stać, potem jąłem generała przekonywać, że powinien pójść z nami. Generał odpowiedział jednak: „Zastrzelcie mnie, ja zostanę tutaj". Wtedy oświadczyłem mu: „W takim razie, panie generale, melduję posłusznie, że biorę pana generała pod przymus wojskowy". Nie chciałem bowiem użyć słowa „aresztuję pana". Zawezwałem strażnika i postawiłem go przy drzwiach z nasadzonym ba



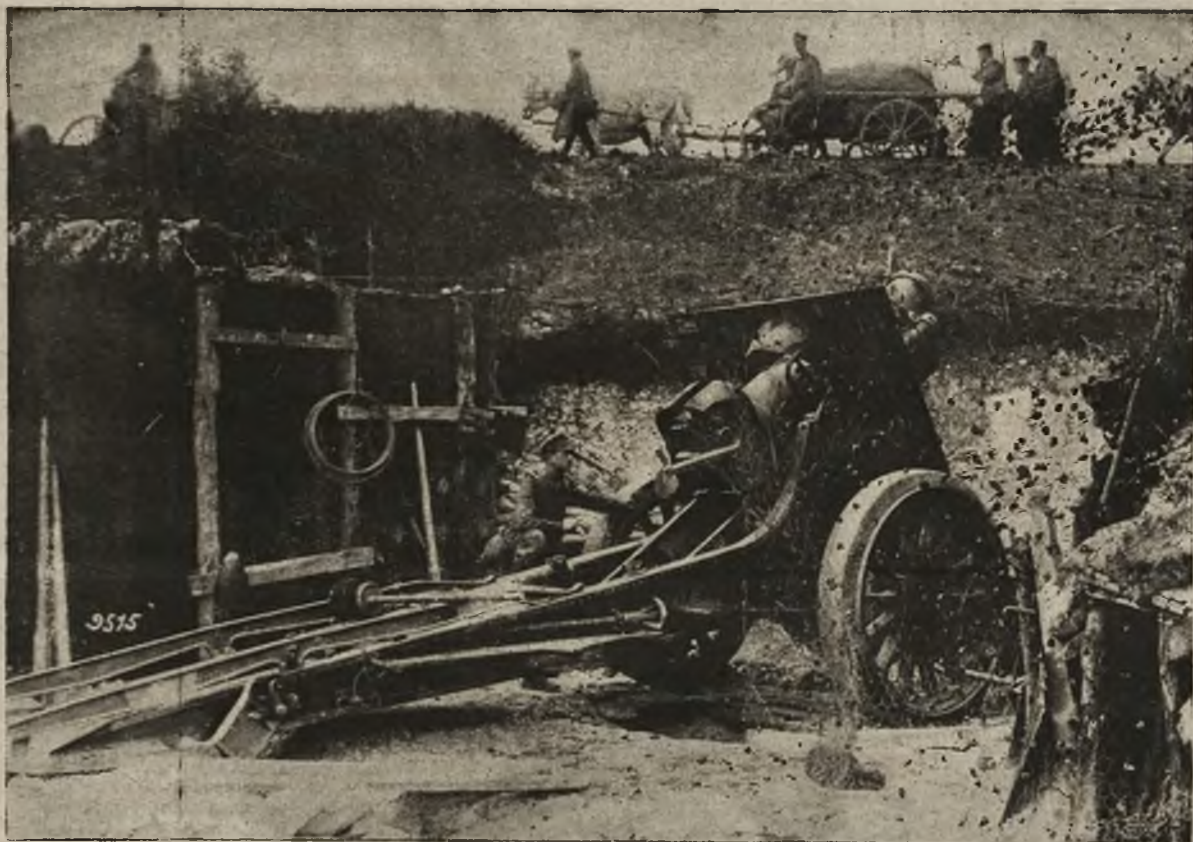
Proces Legionistów w Marmarosz-Sziget Kapitan dr. Roman Górecki.

gnetem. W ten sam sposób postawiłem potem pod przymus wojskowy Rogalskiego, Garncarskiego i Pomazańskiego, gdy również odmówili współdziałania z nami. Byłem zresztą przekonany, że musimy wziąć generała z sobą. Żołnierze kochali go jak ojca, oc przebył z nimi całą sławną kampanię karpacką, musiałby się chyba zastrzelić, gdyby sobie potem uprzytomnił, że naród może go zapytać: „Generale, gdzie są twoi żołnierze? Oni chwycili za broń, a ty zostałeś!" Więc już ze względu na niego, nie mogliśmy go zostawić. Było już około godziny 8. Poszedłem przekonać się, czy wszystko jest w porządku. Mój koń stał już gotowy. Na czele mej kolumny wyruszyłem gościńcem ku Mamajesti.

Kapitan Górecki zeznawał śmiało, za wszystko,



Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: Wojska niemieckie przechodzą przez wysadzony w powietrze most na kanale Aisny (Fot. Bufa).



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: Francuski 22 cm. moździerz na pełnych gumowych kołach zdobyty przez Niemców w stanie zupełnie nieuszkodzonym (Fot Bufa)

co się stało, przyjmując odpowiedzialność na siebie, tak, że przewodniczący rozprawy uważał za stosowne zwrócić mu uwagę:

— Panie kapitanie, dlaczego pan tak oskarża siebie?

Jednym z następnych oskarżonych był ksiądz Józef Panaś, kapelan wojskowy Legionów. W zeznaniu swem ksiądz Panaś wymienił wszystkie momenta charakterystyczne dla jego sposobu myślenia i zapatrywań politycznych, aż po dzień zawarcia traktatu brzeskiego, a dalej zmianę zapatrywań politycznych, jaka potem nastąpiła i przygnębienie duchowe. Chcąc dać zrozumieć wartość Chełmszczyzny dla Polaków i umożliwić należytą jej ocenę, wskazał mowca na uznane publicznie przez kierownictwo armii bohaterstwo Legionów polskich z okazyi przełamania linii koło Łucka w czerwcu i lipcu 1916 r. Źródłem tych bohaterskich czynów była gorąca miłość Polaków, zwłaszcza do tej części kraju, przeciw której zajęciu przez Rosyan wytężyli wszystkie swe siły.

Oskarżony przeczy, jakoby z okazyi nabożeństwa żałobnego, odbytego bezpośrednio przed wydarzeniami z dnia 15. lutego w Najmajesti za majora Neczyńskiego, otrzymał był od jenerała Zielińskiego polecenie, aby działał uspakajająco. To byłoby wówczas rzeczą niemożliwą, ponieważ nie mógł się usunąć z pod wpływu masowej psychozy, a uspakajanie wpłynęłoby raczej podniecająco. Oskarżony przyznaje, że w kazaniu swem nazwał zmarłego szczęśliwym, ponieważ zaoszczędzono mu rozczarowania, wynikającego z traktatu brzeskiego.

Co dotyczy przejścia Poskiego Korpusu posiłkowego do wojsk jenerała Muśnickiego, on i wielu innych było przekonania, że przejście to następuje nie przeciw woli c. i k. rządu, lecz nawet za jego nieoficyalną zgodą, ponieważ wedle rozpuszczonych pogłosek c. i k. rząd zarzucił już austro-polskie rozwiązanie kwestyi polskiej. Oddziały jenerała Muśnickiego, podobnie jak wojska sprzymierzeńców, miały walczyć przeciw bolszewikom, a zadanie Legionów w Austryi mogło być uważane za ukończone. Ksiądz Panaś przedstawił wydarzenia z d. 15 lutego.

Następnie zeznawał major Włodzimierz Ostoja Zagórski. Ojciec jego był poddanym rosyjskim, który w roku 1863 brał udział w powstaniu przeciw Rosyi. Dążeniem jego ojca było całą rodzinę przygotować do walki z Rosyą. Synowie mieli służyć w armii austro węgierskiej właśnie dlatego, ponieważ tylko w Austryi Polacy mogli myśleć i czuć po polsku. W ten sposób stał się zawodowym oficerem i uzyskał w armii stopień kapitana sztabu jeneralnego, gdzie jeszcze dotąd jako nadkompletowy jest prowadzony w ewidencyi. Służbę pełnił w sztabie jeneralnym, potem w c. i k. wojsku, następnie był przydzielony do Legionów, a wreszcie w październiku roku 1917 otrzymał polecenie utworzenia polskiego pułku artyleryi.

Major Zagórski również oświadcza, że nie poczuwa się do winy. Co dotyczy jego przynależności państwowej, to wedle jego zapatrywania po piśmie odręcznem monarchy do Legionów i po szeregu rozporządzeń Rady Regencyjnej, jako też wskutek uroczystego oddania Legionów przez hr. Szeptyckiego, jako kadry armii polskiej, istniała zmiana, choć nieformalna. Odejście Polskiego Korpusu posiłkowego z Polski do Galicyi nastąpiło tylko ze względu na położenie wojskowe. Uważać to należało jako stadyum przejściowe.

Oskarżony miał na oku zawsze tylko czysto wojskowe zasady i tłumił wśród podwładnych mu wszelkie politykowanie, skutkiem czego nawet stał się znienawidzonym w opinii publicznej polskiej, w której zainicyowano akcyę przeciw niemu i napiętnowano go, jako zdrajcę i szpiega. Traktat pokojowy z Ukrainą podkopał jego silne zapatrywania, których publicznie bronił, że Polacy mają walczyć po stronie c. i k. wojsk.



Proces Legionistów w Marmarosz-Szigot: Major Włodzimierz Ostoja Zagórski



Trzecie uderzenie Niemców na Zachodzie: Ciężkie działo francuskie zdobyte pod Pargny. (Fot. Bufa).



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: Stanowisko baterii o dwunastu działach pozostawionej przez nieprzyjaciół w chwili panicznego odwrotu. (Fot. Bufa)

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J. MIGOWA)

8

Z początku sądzono, że Antoni de Grantaigle uciekł poprostu przed inwazyą. Później wahano się pomiędzy trzema przypuszczeniami: albo został pogrzebany pod gruzami, albo nieprzyjaciele cichaczem pozbawili go życia, albo uwięziono go jako jeńca cywilnego do Niemiec.

Siostrzeńcy zarządzili poszukiwania, które wszakże żadnego dotychczas nie wydały rezultatu.

Dr. Savarre postarał się odnaleźć jednego z tych siostrzeńców. Młodzieniec pełnił w wojsku służbę pomocniczą, albowiem był to człowiek o wątłej budowie ciała.

Nazwisko doktora Savarre nie było mu obcem. Nie znając prac słynnego neurologa, słyszał jednak dużo o nim i uważał go za wielkiego człowieka.

Spotkanie miało miejsce na pustej stacyjce, gdzie wagony oczekiwały na lokomotywę.

Siostrzeniec Grantaigla zadowolił się błahem wyjaśnieniem, mającem uzasadnić ciekawość doktora i chętnie udzielił Savarrowi informacyi o swym uczonym wuju.

— Człowiek nieprzenikniony, niepojęty!... Znaliśmy go niewiele... Zdaje mi się, że on się zajmował wiele promieniowaniem i początkami życia na ziemi... Nikt nie miał wstępu do jego laboratoryum oprócz pewnego młodego człowieka nazwiskiem Champenois. Ten Champenois był równie tajemniczy, jak i wuj... Powołany do wojska, zginął w bitwie. Czy pan zna pierwsze prace mojego wuja?

— Są bardzo oryginalne i godne uwagi.

— Tak mówią. Ja nie jestem pod tym względem kompetentny. Pewnem jest wszakże to, że intelligencya wuja nie osłabła wcale i że pracował wciąż usilnie... Można więc przypuścić, iż poczynił jakieś nowe odkrycia... Mam wrażenie nawet, że to musiałyby być rzeczy donioślejsze i ogarniające całość. Jeżeli nie ogłosił tych swoich prac, to musiał mieć po temu ważne powody. Albowiem był tylko człowiekiem oryginalnym, ale nie był ani maniakiem, ani nawet dziwakiem...

— Sądzi pan, że pan de Grantaigle żyje jeszcze?

— Myślę, że nie. Gdyby go uwieziono do Niemiec, już on znalazłby sposób, aby nas uwiadomić o swym losie. W razie potrzeby umiał być ogromnie chytrym i niezwykle zręcznym. Wywiódłby niechybnie w pole swoich strażników. Jestem przekonany, że nie potrafiliby go upilnować nawet przez kilka dni.

Siostrzeniec Grantaigla przerwał rozmowę, aby odebrać jakąś depeszę.

— Ach! panie! — westchnął powróciwszy — Klęska z temi depeszami, listami, okólnikami... Ale trudno, tak być musi... Czy pan chciałby jeszcze się czegoś dowiedzieć?

— Co stało się z laboratoryum?

— Zniszczone zupełnie... Wyleciało w powietrze... Nie pozostało nic, oprócz jakiegoś odłamka pyrometru, mało interesującego... Aha! I jeszcze kawałek zwęglonego papieru, na którym zdołałem odcyfrować następujące słowa: „Życie przyszło do nas z przestrzeni międzygwiezdnych i tylko przestrzenie międzygwiezdne mogą nam wyjaśnić"...

— Aaa!... — szepnął Savarre zadumany.

Milczał przez chwilę poczem rzekł:

— Gdyby odnaleziono coś nowego, to czy byłby pan tak dobrym uwiadomić mnie?

— Jak najchętniej... Oczywiście z wykluczeniem tajemnic osobistych... Myślę o rzeczach uczuciowych, nie o naukowych.

Dr. Savarre pożegnał się trochę zbity z tropu. W głębi duszy wydawało mu się śmiesznem to poszukiwanie związku pomiędzy pracą Antoniego de Grantaiglé, a zagadką rozdwojonego życia Piotra de Givreuse.

— Więcej rzeczy wskazuje na to — myślał, jadąc pociągiem w drogę powrotną — że przygoda ta nosi piętno czegoś nadzmysłowego raczej...

IV.

Powróciła wiosna.

Życie Givreuse'ów było teraz coraz mętniejsze i pełne wahań.

Niepokój młodzieńców potęgował się. Od dnia owego niemego wyznania nowa fatalność zawisła nad ich głowami. Bezwolnie stali się rywalami, choć bez przymieszki tych uczuć jakie przynosi z sobą taka rywalizacya, bez nienawiści i goryczy. Niemniej jednak cierpieli bardzo.

Gdyby nawet jeden poświęcił się, to drugi i tak czułby się głęboko nieszczęśliwym. Taka ofiara wydawała się niemożliwą. Wszystko się w nich buntowało. Tracili ochotę do życia.

Kochanie stało się dla nich tem, czem oddech dla pluch, jakgdyby te dwie miłości łączyły się wzajemnie, moc swoją potęgowały.

Ilekroć przestawali rozważać, zastanawiać się, ilekroć, nie mieszając w to planów przyszłości, szli ślepo i posłusznie za głosem serca, wtedy nawet w tej dziwnej rywalizacyi była jakaś słodycz niepojęta. Żyli wówczas teraźniejszością tylko, namiętną, uroczą a zarazem bardzo czystą.

Miłość ich splatała się w jedno z bujną radością młodości, z pięknością przyrody, z czarem gwiazd, skał i oceanu.

Zanikały projekty, gasły nadzieje, zacierały się obawy i młodzieńcy tonęli w świadomej hypnozie.

Kiedy wszakże jakaś refleksya lub marzenie przyszłość ogarniające, przywoływały ich do rzeczywistości, przypominając, że trzeba się decydować, wówczas ogarniało ich najczarniejsze przygnębienie.

Żadna scena w rodzaju tej, jaka rozegrała się wtedy na plaży, nie powtórzyła się.

Walentynie postępowanie „Piotra" wydawało się dziwnem, mniej wszakże dziwnem, niżby to można przypuścić.

Nie zapomniała jeszcze tej trwogi, która nią wstrząsnęła tam, wśród granitów. Myślała o tem z dreszczem przerażenia, z poczuciem jakiejś tajemnicy, bardziej niezwykłej niż przypadkowe podobieństwo dwóch ludzi.

Dziewczyna notowała sobie teraz w pamięci najdrobniejsze szczegóły z ich zachowania, zwracała uwagę na najmniej znaczące słowa. Delikatność jedynie powstrzymywała ją od formalnego szpiegowania.

Ta przyjaźń młodzieńców zastanawiała ją, bo nie miała żadnego prawie wyrazu zewnętrznego. Wypowiadała się milcząco. Piotr i Filip rozmawiali z innymi, ze sobą nigdy. Ani cienia wymiany zdań i tem mniej jakiejś, choćby najlżejszej opozycyi.

Specyalnie uderzyło to Walentynę pewnego popołudnia majowego.

Panna de Varsennes siedziała na ławce w parku i czytała. Piotr i Filip przechadzali się. Szli tuż obok siebie, niekiedy jeden lub drugi spoglądał na jakąś roślinę, na owad, na obłok.

Uśmiechali się czasem. Ten uśmiech wyrażał zadziwiającą jednozgodność uczuć i myśli. Ani razu nie przemówili.

To milczenie wprawiało Walentynę w stan nerwowego lęku.

Było jej tak, jak człowiekowi, który budząc się, waha się jeszcze pomiędzy jawą a sennem widziadłem. Zdawało się jej, że coś odgaduje, że stoi na progu jakiejś tajemnicy... Światło rozbłyskiwało i gasło. I znowu wszystko tonęło w mroku.

Nie pozostawał tutaj także bez wpływu sposób zachowania się hrabiego Augustyna de Rougeterre.

Ten szorstki człowiek, nawykły do czynów jasnych i słów prostych, zdradzał niezwykłe wzruszenie w towarzystwie Piotra i Filipa.

W jego ruchach, spojrzeniach, w tonie głosu przebijało jakieś zmieszanie, czy jakby nawet oszołomienie. Walentyna kładła to na karb zakłopotania, wywołanego tem zdumiewającem podobieństwem.

Chwilami jednak intuicyjnie przeczuwała jakąś zagadkę. Bywało to wtedy, kiedy w oczach starego hrabiego czytała coś jakby zgrozę przerażenia.

Ale cóż. Ani w myśli nie powstało jej podejrzenie rzeczywistego stanu rzeczy. I jakże mogłaby coś podobnego przypuścić?

Marzyło się jej natomiast jakieś pokrewieństwo tajemnicze. Awantury romantyczne wszelkiego rodzaju niepokoiły wyobraźnię dziewczyny.

Niekiedy Walentynie niepodobna było poprostu czuć żywszą sympatyę dla Piotra niż dla Filipa i zdawało się jej, że wogóle nie ma prawa do takiego wyboru.

Nie śmiała kochać. Walczyła ze wspomnieniami i ze swoją miłością. Zaczynała myśleć o ucieczce. Rodziło się w niej pragnienie, aby się schronić gdzieś zdala od Givreuse'ów i wyrzec się szczęścia.

Sądziła, że rozproszyłyby się niepokojące przeczucia, że minęłyby smutki i rozdrażnienie, gdyby nie ta straszliwa pewność, że jest kochaną przez tych dwóch mężczyzn, w taki sam sposób, tem samem uczuciem.

Chciała się łudzić, chciała wątpić o tem. Wysubtelniona intuicya nie pozwalała.

W spojrzeniach Piotra i Filipa Walentyna czytała jednakową tkliwość, tę samą nieśmiałość i słodycz.

Na myśl o tej podwójnej miłości oblewała się purpurą rumieńca, jak gdyby to ona zawiniła.

U innej dziewczyny mygło się przymieszać trochę tej próżności zadowolonej, jaką spotkać można u kobiet nawet bardzo czystych moralnie.

Nic podobnego u Walentyny. Całem sercem, gorąco, żarliwie pragnęła, aby ją jeden z nich przestał kochać.

Życzyła sobie, ażeby to był Filip, ale zgodziłaby się także i na Piotra.

— — — — — — — — — — — — —

Pewnego poranku pani de Givreuse, w towarzystwie Walentyny, Piotra i Filipa, udała się do opuszczonej wsi, poza Saint-Michel les-Soups. Było to coś na kształt pielgrzymki.

Niegdyś cała okolica należała do dóbr hrabiego Rougeterre, obecnie jeden tylko oddalony folwark pozostał jeszcze w posiadaniu rodziny.

Pani de Givreuse przepędzała tam swego czasu urocze dni, których wspomnienie nie zatarło się. Piotr przed wojną odwiedzał często ten zakątek.

Powóz zatrzymał się u wejścia do wsi.

Pani de Givreuse i jej młodzi towarzysze spoglądali ze smutkiem na domostwa skupione wokół dzwonicy, starej, biednej dzwonicy, obrosłej mchami, dzikim bluszczem i powojem.

Panowała tam niezmącona cisza. Prawie wszędzie okienice były zamknięte. Zdziczałe koty uganiały po jabłoniach, zżartych przez robactwo.

Jak gdyby śmierć przeszła tędy. Mimowoli ucho natężało się, aby pochwycić słuchem kroki ludzkie, głos kobiety, szczebiot dziecka.

Milczenie... cisza...

— To jest bardziej wstrząsające niż ruiny Herkulanum — szepnął Piotr.

— I daleko smutniejsze — uzupełniła matka.

Przeszli przez wieś do folwarku, gdzie gospodarzył Jakób Berleux. W przeciwieństwie do pustej, głuchej wsi, na folwarku tym wrzało czynne, ruchliwe życie i rozwijały się różne gałęzie przemysłu.

Był tam i młyn i tartak, nie brakowało przędzalni ani warsztatu tkackiego. Wyprawiano skóry, wypalano cegłę, sporządzano wózki.

Na upartego mogliby mieszkańcy tutejsi obejść się bez jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz.

Gruby mur otaczał sad, ogród warzywny i obszerne podwórze.

Gospodarz przechadzał się właśnie pod stuletniemi jabłoniami. Był to mężczyzna w podeszłym wieku, miał typowe oblicze Francuza starej daty. Wygolony starannie, spoglądał chytrze, a uśmiechał się przyjaźnie.

Kiedy spostrzegł nadchodzących, wykonał coś w rodzaju ukłonu i zawołał:

— Jaśnie pani hrabina! I pan Piotr! Jakże się cieszę!

Ze zdumieniem porównywał twarze obu młodych ludzi.

— Słyszałem już... Ale nie myślałem, żeby aż tak... Podobni są do siebie, jak dwie pszczoły jedna do drugiej. To jakby cud jakiś! I ja nawet nie wiem, który to jest tamten pan...

Wskazano mu Filpa. Spojrzał na młodzieńca z podziwem, w którym był jednakowoż jakiś cień nieufności.

— Bóg miał w tem cel jakiś. To nie jest prosty przypadek, pani hrabino! Ale cóż! Nie szkodzi... Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta wojna! O, moi synowie!... Moi obaj synowie!...

(Ciąg dalszy nastąpi)





Trzecie uderzenie Niemców na Zachodzie:
Schroniska wojsk francuskich, zdobyte na wzgórzach Chemin des Dames. Jeńcy francuscy w Laon (Fot Bufa).

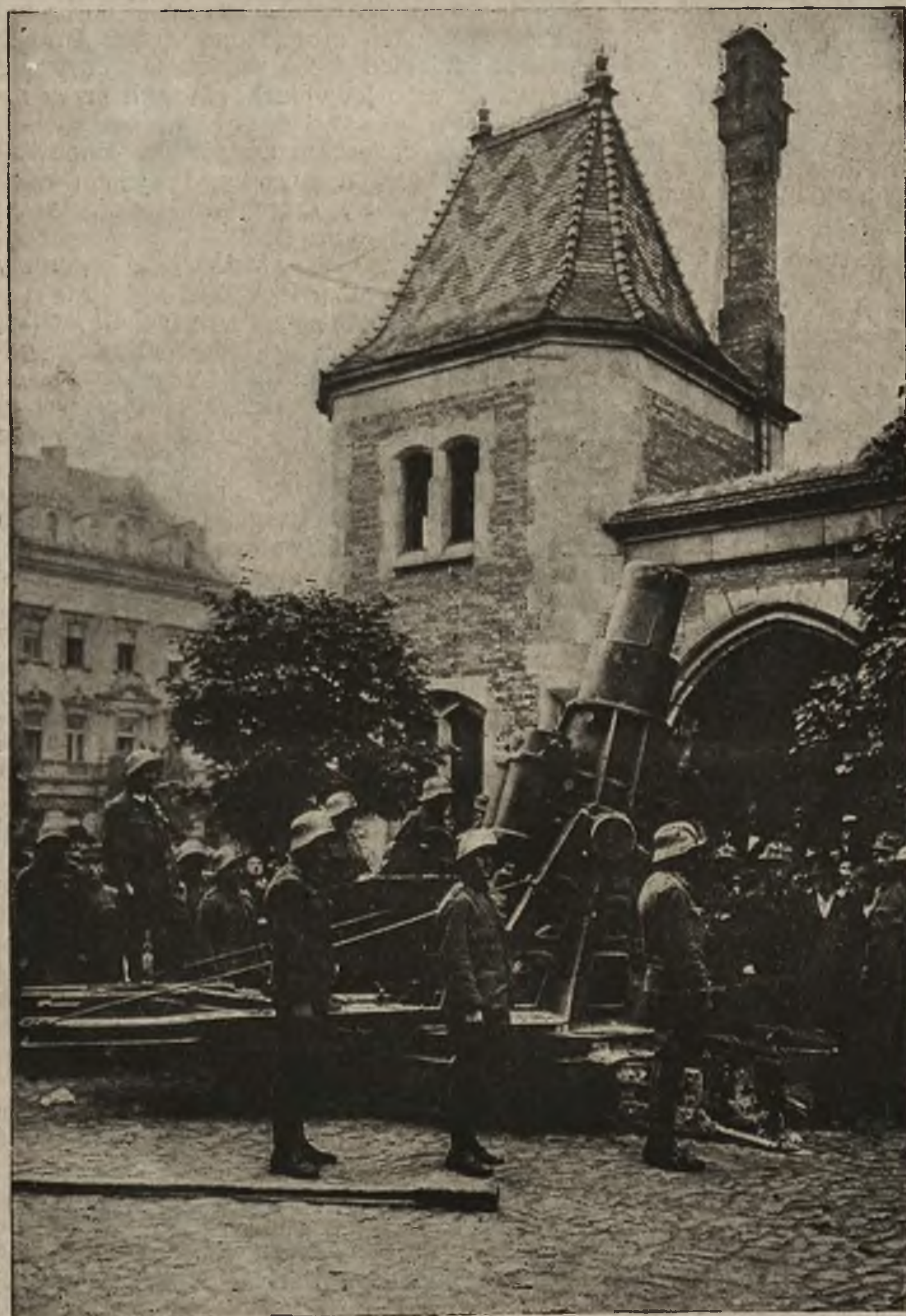
Trzecie uderzenie Niemców na Zachodzie.

Wielka ofenzywa niemiecka, która rozpoczęła się w dniu 21 marca i jak się zdawało, miała za jednym zamachem doprowadzić do rozstrzygnięcia na zachodnim froncie, zamieniła się w systematyczną uporczywą walkę, podejmowaną po kolei w różnych miejscach frontu. W dniu 27 maja nastąpiił trzeci okres tych gigantycznych zapasów.

Po uderzeniu centralnem, idącem od Cambrai i wymierzonem w kierunku Amiens, po operacyach skrzydłowych, nad Oisą, oraz nad rzeką Lys, które ubezpieczyć miały od flankowego napadu zdobycze niemieckie, poczynione w centrum, przyszła znowu kolej na dalsze wzruszanie francuskiego frontu. Atak z 27 maja nawiązał w tem właśnie miejscu, gdzie poprzednio znajdował się punkt zawiasowy dla atakujących wojsk niemieckich: nad rzeką Oisą, w okolicy Laon, w szczególności w tym odcinku frontu, który biegł wzdłuż rzeczki Ailette, pobocznej z lewego brzegu Oisy. Tutaj w okolicy Coucy ruszyli Niemcy najpierw do ataku, przygotowanego, jak zwykle, z całą troskliwością i obmyślanego do najdrobniejszych szczegółów. I znowu stała się rzecz dziwna: jednym rozmachem przekroczyli Niemcy rzeczkę i zdobyli pozycye nieprzyjacielskie, ciągnące się na wzgórzach, które panowały daleko nad okolicą, a z których widok rozlegał się aż do brzegów kanału La Manche. Całe pasmo górzyste, osłaniające dostęp do rzeki Aisny, ciągnące się od Oisy aż do twierdzy Reims, nad kanałem, łączącym Aisne z Marną, zostało wzięte za jednym rozbiegiem. Sławne pasmo Góry Zimowej, grzbiet gorzysty Chemin des Dames, o który przed rokiem krwawe po obu stronach toczyły się walki — który Francuzi siłą próbowali zdobyć w kwietniu ubiegłego roku daremnie, a który Niemcy następnie musieli dobrowolnie opróżnić, zaraz pierwszego dnia ofenzywy, znalazły się w ręku zwycięzców. I znowu jedno z powodzeń, które wobec sił, stojących do dyspozycyi Francuzów i Anglików, stają się zagadką.

Naczelne kierownictwo niemieckie tak przedstawia początek tej nowej lawiny:

Zaraz pierwszego dnia, już o godzinie 10 przed południem przekroczono kanał Aisny w dwu miejscach, po wzięciu potężnych stanowisk górzystych i umocnień francuskich w najkrótszym czasie w najświetniejszym rozbiegu. Nieprzyjaciel w żadnym kierunku nie był przygotowany na atak. Dywizye angielskie, które się znalazły tu niedawno dopiero,



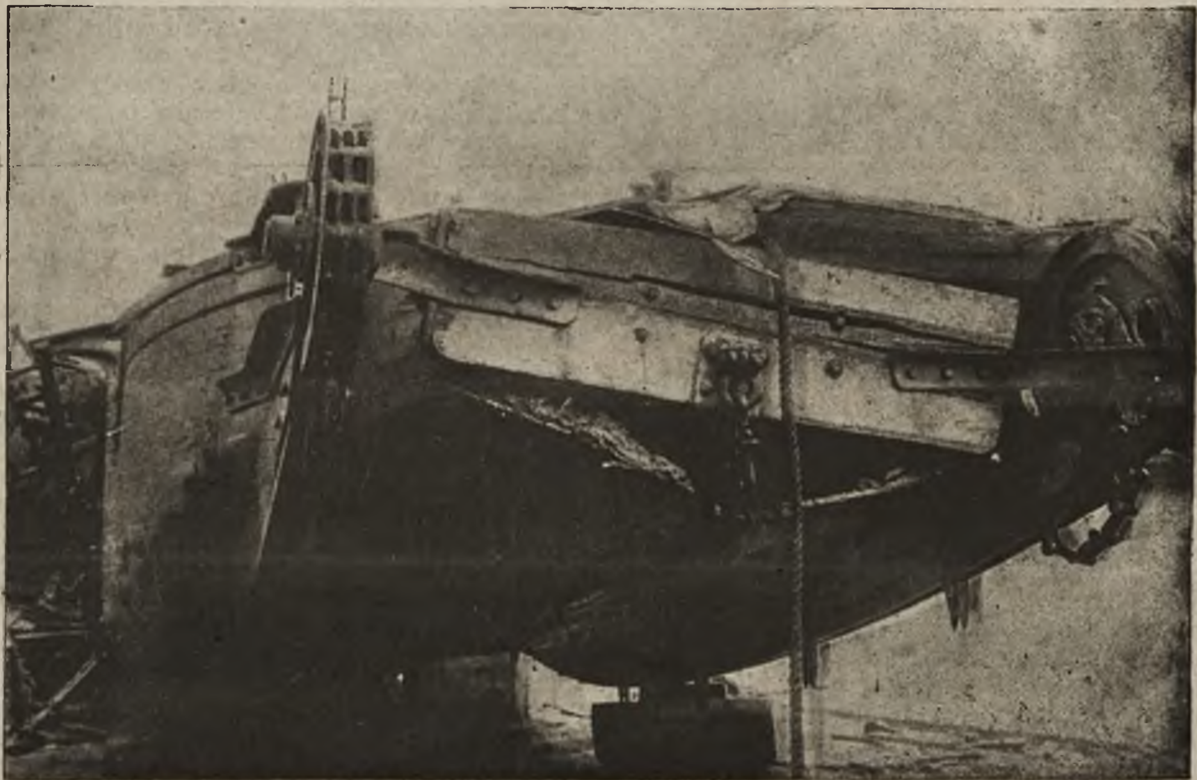


Osma pożyczka wojenna: Reklamowy moździerz 30·5 centymetrowy na Rynku w Krakowie.

były zaskoczone zupełnie. Francuzi oczekiwali tylko lokalnego ataku. Skoro stroma Góra Zimowa już o wpół do piątej znalazła się w rękach niemieckich, została Chemin des Dames zagrożona z flanki. O godzinie 11 minut 20 przed południem miały szturmujące wojska niemieckie w swojem posiadaniu linię Vauxaillon — ferma Hameret—wzgórze 151 na północ od Sauper—Moussy—Paisy—Vassogne—Craonelle. O godzinie 11 minut 20 przed południem Góra Kulista, oraz góra przy miejscowości Ville zostały wzięte szturmem. Znowu z zadziwiającą szybkością ściągnięto artyleryę i ustawiono ją natychmiast w nowych stanowiskach. Koło Cerny droga była zasypana z powodu usunięcia się ziemi. W przeciągu jednej godziny oddano ją ponownie do użytku.

W temsamem tempie i z tym samym rozmachem ruszyli Niemcy do ataku bezzwłocznie na przestrzeni osiemdziesięciu kilometrów, na całej szerokości frontu pomiędzy dwoma narożnikami potężnymi, o które niejedna już fala ataku w ciągu tej wojny się rozprysła: między twierdzami Soissons a Reims. Te dwie twierdze stały się w pierwszym momencie ataku znowu punktami zawiasowemi, o które się atak zahaczył. Zostawiono je zrazu na boku, główny napad skierowano w przestrzeń słabszą pomiędzy te twierdze. Po zdobyciu Chemin des Dames cała linia Aisny stała otworem. Wojska angielskie i francuskie, które stały naprzeciw, rzuciły się do bezładnego odwrotu. Poszczególne grupy wojsk straciły z sobą czucie wzajemne. Podkomendni nie otrzymywali żadnych wiadomości ani rozkazów od swoich dowódców. W bezładnej rozsypce zostawiono artyleryę, magazyny amunicyi, parki lotnicze z aparatami, gotowemi do odlotu, parki automobilowe, olbrzymie zapasy żywności.

Tak się rozpoczął trzeci okres ofenzywy niemieckiej.



Z włoskiego frontu: Szczątki zniszczonej włoskiej łodzi torpedowej „Grillo". (Woj. kwat. pras.)



Z włoskiego frontu: Włoska łódź motorowa do wyrzucania torped, zniszczona pociskami artyleryi austryackiej. (Woj kwat. pras.)

Z włoskiego frontu.

Nietylko na Zachodzie toczy się zacięta bitwa, ale i na włoskim froncie wzmogła się działalność bojowa. Włosi znowu próbują szczęścia, chcąc w ten sposób odciążyć zagrożonych sojuszników, a tymczasem, jak donoszą dzienniki, armia austryacka szykuje się do nowej wielkiej ofenzywy. I na froncie włoskim zaczną się więc niebawem ważne wydarzenia.

Przy tej okazyi warto uprzytomnić sobie ogrom stoczonych na froncie włoskim walk, warto przytoczyć bilans tych ofiar. Po pierwszych sukcesach na początku wojny, Włosi utknęli nad Isonzem. Stoczono tam jedenaście bitew, w których mieli Włosi 270.000 zabitych, 230.000 rannych stało się inwalidami, a 134.000 żołnierzy popadło w niewolę. Ogółem tedy 634.000 żołnierzy na stałe usunęło się ze związku walczącej armii włoskiej. Pozatem 1,200.000 rannych odniosło rany lżejsze.

W jesiennej ofenzywie austro-węgierskiej 1917 roku utracili Włosi: 800 oficerów i 30 000 żołnierzy zabitych, 3.200 oficerów i 120.000 żołnierzy jako rannych i 10.000 oficerów i 285 000 żołnierzy wziętych do niewoli. Ogółem 14.000 oficerów i 435.000 żołnierzy.

Jeśli zestawimy owe dwie sumy, t. j. sumę strat w jedenastu bitwach nad Isonzo i sumę strat poniesionych przy ostatnim pogromie, okazuje się, że straty nieprzyjacielskie sięgają olbrzymiej ogólnej sumy 2,250.000 żołnierzy.

Niemniej ciężkie są straty Włochów w materyale wojennym. Po koniec marca pozostawili oni, lub wydali nieprzyjacielowi 2000 dział, z czego połowę o kalibrze ponad 10·2 cm., 3000 karabinów maszynowych, 400 miotaczy min, 150.000 karabinów, 1 milion granatów ręcznych, 1 i pół miliona pocisków artyleryjskich, 52 miliony nabojów karabinowych.

Ogólna waga innej zdobyczy, bez dział i amunicyi, wynosi 4531 wagonów naładowanych, każdy po 10.000 klgr. Główną część tego łupu stanowią automobile, furgony, materyał telegraficzny i telefoniczny, mundury, przedmioty wyekwipowania żołnierskiego, aeroplany itd.

W początkach wojny wydały Austro-Węgry Włochom 2240 klm. terenu nad Isonzem i w Tyrolu. W 27 miesiącach wojny zdołał nieprzyjaciel do tego przyłączyć zaledwie 335 kilometrów kwadratowych.

Zdobyty teren nietylko został przez ofenzywę jesienną odzyskany, lecz ponadto nieprzyjacielowi zabrano jeszcze 2.800 klm. kw.

Taki jest dotychczasowy wynik krwawych walk na froncie włoskim.



Z włoskiego frontu: Austryacki posterunek do walki z aeroplanami na wybrzeżu adryatyckiem. (Woj. kw. pr.)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

29

— Dziesięć tysięcy franków.

— Ależ ja tu żyję skromnie, jak widzisz, sama, skądże przypuszczenie, że mogę być w posiadaniu podobnie wielkiej sumy

— Nie staraj się mnie oszukać, Fernando. Życie skromne, jakie tu prowadzisz, nie gra żadnej roli. Wiem, że taką sumą dysponować możesz.

— Któż cię tak dobrze poinformował? — zapytała ironicznie Fernanda.

— Czy sądzisz, że zanim tu przyszedłem, nie przekonałem się o tem, co mi będzie potrzebnem? Wiem wszystko doskonale. Miesiąc temu Lopez, a właściwie hrabia de Rieux, przysłał ci pięćdziesiąt tysięcy franków. Połowę tej sumy umieściłaś zaraz u notaryusza w Saint-Briene, a reszta znajdować się musi tutaj, w twoim domu.

— Wydajesz się być rzeczywiście doskonale poinformowanym.

— Nie mówię nigdy o tem, czego nie jestem pewny — odparł Paskal zimno.

— I w przekonaniu, że mieć tu będę sumę, której żądasz odemnie, przyszedłeś w nadziei, że pospieszę ci ją czemprędzej wręczyć?

— Oczywiście.

— Mógłbyś się pomylić w twoich szatańskich rachubach! — oburzyła się Fernanda.

— Zobaczymy!

— A gdybym odmówiła jednakże?

— Przewidziałem i tę okoliczność, moje kochane dziecko — odparł Paskal.

— Cobyś więc uczynił?

Paskal wzruszył ramionami.

— Po co tyle słów niepotrzebnych! — rzekł nagle głosem brutalnym. — Czas upływa, a ja nie mogę go tracić u ciebie niepotrzebnie. Wyjaśniłem ci, zdaje się dostatecznie, cel moich odwiedzin, wiesz, czego chcę od ciebie, a więc namyśl się prędko i zdecyduj i nie zapominaj przedewszystkiem, że wcale nie mam zamiaru wyjść stąd z próżnemi rękami, ostrzegam cię, moja kochana!

— A więc to ma być kradzież?! — zawołała młoda kobieta pogardliwie.

— Będzie jeszcze coś więcej, jeżeli okaże się potrzeba — odparł Paskal krótko.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni rewolwer, który nabił i położył na marmurze kominka, znajdującego się obok niego.

Fernanda uśmiechnęła się ironicznie.

— Kończysz, mój wuju, na tem, od czego powinieneś był zacząć — rzekła ostrym głosem. — Takiemu argumentowi rzeczywiście oprzeć się nie można.

— Tak myślisz?

— Czy nie zgadzamy się na tym punkcie?

Fernanda zaśmiała się i skierowała do szafy oszklonej, znajdującej się w pośrodku pokoju. Otworzyła jedną z szuflad, nie spuszczając wzroku z Paskala.

— A więc potrzeba wam dziesięć tysięcy franków? — rzekła pewnym głosem, chociaż kąciki jej ust drgały nerwowo i twarz z lekka pobladła.

— Dziesięć tysięcy franków, tak, moja kochana — odparł lakonicznie Paskal.

— Nie więcej?

— Jeżeli chcesz dodać kilka set franków na koszta podróży, to i owszem.

Rozległ się krótki, suchy trzask i Fernanda zwróciła się twarzą do Paskala.

— A więc, mój kochany wuju — rzekła swobodnie — znajduje się tu przeszło dwadzieścia tysięcy franków. Jest to wszystko, co na miejscu posiadam i pomimo całego zainteresowania, jakie wzbudził we mnie projekt twej ucieczki, nie mogę jeszcze zdecydować się na oddanie ci tych pieniądzy. Namyśl się więc jeszcze dobrze, ale muszę cię ostrzedz jednak, że jeżeli zechcesz podejść do mnie choćby o krok jeden, zastrzelę cię jak psa!

Mówiąc to, młoda kobieta wyciągnęła rękę uzbrojoną rewolwerem. Paskal stał na miejscu zdrętwiały tą niespodzianką.

— Nie zapominaj przytem, mój kochany — dodała Fernanda żywo — że trafiam do monety dwudziestofrankowej na trzydzieści kroków oddalenia.

Głuchy okrzyk wybiegł z piersi nędznika. Chciał skoczyć naprzód, ale strach przykuł go do miejsca. Wściekłemi oczami wpił się w twarz siostrzenicy.

— Więc to jest twoja odpowiedź? — zapytał.

— Czy nie uważasz, że jest zupełnie wystarczająca? - zaśmiała się Fernanda.

— Ale ja tu mogę jeszcze powrócić, pamiętaj Fernando! I nie wiem, czy wówczas będziesz przygotowaną na moje odwiedziny.

— Potrafię się od nich zabezpieczyć.

— Pożałujesz tego, szalona dziewczyno! — zawołał Paskal, pieniąc się ze złości.

— Jeżeli do jutra nie opuścisz okolicy — odezwała się zimno młoda kobieta — będę bez litości dla ciebie i oddam cię w ręce policyi.

Paskal nie odpowiedział.

Cofnął się jednym krokiem ku drzwiom, jakgdyby chciał już wyjść z pokoju.

Zatrzymał się jeszcze jednak. Szalony gniew i upokorzenie dusiły go.

Fernanda stała ciągle w tej samej postawie, trzymając rewolwer zwrócony do jego piersi. Na twarzy jej malowało się niezłomne postanowienie.

Paskal się wahał.

Tam w szufladzie szafki znajdowało się dwadzieścia tysięcy franków! Młoda kobieta sama o tem wspomniała. Wystarczyło rękę wyciągnąć, aby wejść w ich posiadanie. Tak, ale chcąc to uczynić, trzeba było się narazić na ogień tej broni wytkniętej ku niemu, której sam widok odbierał mu przytomność umysłu.

A zresztą któż mógł wiedzieć!

Przypadek mógł mu posłużyć. Fernanda nie była może tak pewną swej ręki, jak to mówiła przed chwilą. Ręka jej mogła zadrżeć... strzał być chybionym... a wtedy...

Paskal doznał olśnienia. Fala gorącej krwi uderzyła mu do głowy, uczuł obręcz żelazną zaciskającą mu skronie.

Zwrócił do młodej kobiety twarz nabrzmiałą i czerwoną

— A więc? — zapytała, patrząc z ciekawością i wstrętem na niego.

— Nic — odparł Paskal.

— Nie odchodzisz?

— Pozostaję.

— A więc to walka?

— Tak widocznie być musi.

— Śmierć cię nie przestrasza? — zapytała Fernanda, patrząc mu prosto w oczy.

— Och! Zobaczymy jeszcze, kto się obawiać będzie, moja mała! Dosyć tych żartów!

Paskal skupił się w sobie, jak do skoku, nie spuszczając z oka lufy rewolweru i z okrzykiem głuchej wściekłości rzucił się na młodą kobietę.

Rozległ się wystrzał.

Ale i tym razem przypadek miał sprzyjać zbrodni. Ręka Fernandy zadrżała w chwili, kiedy przyciskała cyngiel rewolweru. Kula przeszła bokiem, trzaskając w kawałki duże lustro, zawieszone na jednej ze ścian pokoju.

Paskal nie wyrzekł ani słowa. Nie czuł nawet w tej chwili nienawiści do siostrzenicy, która godziła na jego życie. Przejęty tylko jednem pragnieniem i myślą, skoczył do szafki i po kilku sekundach gorączkowego poszukiwania odnalazł portfel, zawierający pieniądze.

Otworzył go drżącemi rękami.

Na widok banknotów, pomruk dzikiego zadowolenia wybiegł z jego piersi. Zamknął starannie ten skarb cenny i schował go szybko do kieszeni płaszcza.

Poczem chciał się skierować ku drzwiom.

Ale w tej chwili zatrzymał się, nadsłuchując niespokojnie.

W ciszy nocy rozległ się donośny dzwięk dzwonka, szarpniętego u furtki ogrodowej. Fernanda usłyszała również i natychmiast odzyskała przytomność umysłu, przeczuwając, że nadchodzi dla niej jakaś nieprzewidziana pomoc i obrona. Nie namyślając się, skoczyła ku drzwiom zagradzając sobą przejście.

— Włóż natychmiast portfel z pieniędzmi do szafy! — zawołała silnym głosem — bo przysięgam ci, Paskalu, że inaczej żywy stąd nie wyjdziesz!

— Czy masz zamiar naprawdę zatrzymać mnie tutaj?

— Nie wyjdziesz stąd, powtarzam ci to!

— Fernando! Ostrzegam cię! Wdajesz się w grę bardzo niebezpieczną dla siebie!

— Zrób to, co ci rozkazałam, a pospiesz się! — zawołała młoda kobieta.

— Daj mi przejść!

— Nigdy! Ktoś nadchodzi!

— Fernando!

— Nie przejdziesz już teraz!

Błyskawicznym ruchem Paskal wydobył błyszczący nóż z kieszeni.

Szybkim krokiem zbliżył się do młodej kobiety, śledzącej jego ruchy.

— Ach! Strzeż się! Strzeż się, szalona! — szepnął zduszonym głosem, patrząc na nią krwią nabiegłemi oczyma. — Strzeż się, Fernando! Wiesz dobrze na co się narazisz, bo nikt dotąd bezkarnie mnie nie wyzywał! Patrz, tracę już panowanie nad sobą! Ktoś nadchodzi... wejdzie tu... za parę chwil mogę być zgubionym... Fernando! Pozwól mi przejść, słyszysz!

— Nigdy!

— Ach! A więc sama tego chciałaś, nieszczęsna!

Gwałtownym ruchem podniósł rękę, uzbrojoną w nóż, kierując go ku piersi Fernandy.

— Do mnie! Do mnie! Na pomoc! — krzyczała młoda kobieta z całych sił.

Ale głos zamarł jej w piersiach.

Paskal oszalały trwogą rzucił się na nią, zagłębiając nóż w jej ciele.

Stłumiony jęk wydobył się z ust Fernandy, pochyliła się bezwładnie na ziemię, zlana krwią, buchającą z jej piersi. Widziała jeszcze, jak Paskal otworzył szybko okno i wyskoczył do ogrodu.

Prawie w tej samej chwili Lopez i Frank, wprowadzeni przez starą służącą, wchodzili do pokoju, gdzie Fernanda bezprzytomna leżała na ziemi.

Kiedy młoda kobieta otworzyła oczy, ujrzała przy łóżku, na którem leżała, twarz Franka, pochylonego nad nią niespokojnie. Na ten nieoczekiwany widok głębokie drżenie przebiegło po jej ciele. Przesunęła kilkakrotnie ręką po czole, jak gdyby chcąc się upewnić, czy to nie sen chorobliwy. Ale to był naprawdę Frank. Patrzał na nią ze wzruszeniem i uśmiechał się łagodnie. Fernanda z głębokiem westchnieniem wyciągnęła do niego drżące ręce.

Lopeza nie było w pokoju.

Wybiegł był w poszukiwaniach za Paskalem i choć go nigdzie znaleźć nie mógł, nie spieszył się z powrotem, wiedząc, że Frank lepiej od niego uspokoi i rozerwie Fernandę.

Na szczęście rana nie okazała się śmiertelną i Frank, zbadawszy ją dokładnie w pierwszej chwili, oznajmił z radością, że życiu młodej kobiety nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Fernanda leżała jednak zemdlona i upłynęło blizko dwie godziny, zanim przytomność odzyskała i mogła się zoryentować, co się stało.

Kiedy nareszcie otworzyła oczy i spostrzegła Franka, stojącego przy łóżku, ogromne wzruszenie i zadowolenie ogarnęło ją. Jakże wdzięczną była losowi, który pozwolił jej widzieć przy sobie człowieka, którym wypełnione były wszystkie jej najskrytsze myśli i od którego uciekła dobrowolnie tylko dlatego, ażeby jej tajemnica odkrytą nie została.

Jakiż cudowny przypadek połączył ich teraz ze sobą, w chwili, kiedy traciła nadzieję, że ujrzy go kiedykolwiek. W tym wypadku jednak przypadek szczęśliwy nie grał żadnej roli. Rolę Opatrzności podjął Lopez, kierując się silnem postanowieniem doprowadzenia swoich ukrytych pragnień do skutku. Nie wysilił nawet zbytnio wyobraźni, aby złączyć tych dwoje młodych, którzy w głębi ducha gorąco tego pragnęli.

— Pan! Pan! Mój przyjacielu! — zawołała Fernanda z błyskiem szalonej radości w oczach, przytrzymując ręką serce bijące gwałtownie — pan tutaj... w takiej okropnej okoliczności.

— Jakże błogosławię nieba, które mnie natchnęło do tej podróży — odparł Frank. — Ale właściwie to Lopezowi powinieniem za to gorąco podziękować. Jego to dzieło!

— Jakto?

— Gdyby nie on, nie wiem, gdziebym się znajdował o tej porze.

— Niechże mi pan to wyjaśni — prosiła Fernanda. — W głowie mi się mąci poprostu i nie mogę zrozumieć, skąd wzięliście się tutaj, moi kochani.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ku czci poległych na polu walki.

W dniu 19 kwietnia b. r. odbyło się w Sandomierzu uroczyste poświęcenie cmentarza wojennego, na którem spoczywają śmiertelne szczątki oficerów i żołnierzy pierwszego batalionu 32 pułku strzelców, którzy znaleźli śmierć bohaterską w walkach stoczonych w tem miejscu w r. 1914 z przemagającemi siłami nieprzyjacielskiemi.

Uroczystość miała przebieg bardzo poważny, w przemowach, jakie przy tej sposobności wygłoszono, podniesiono dzielność i brawurę członkow pułku z jaką szli na wroga, wskazując ich obecnym jako wzór, godny naśladowania.

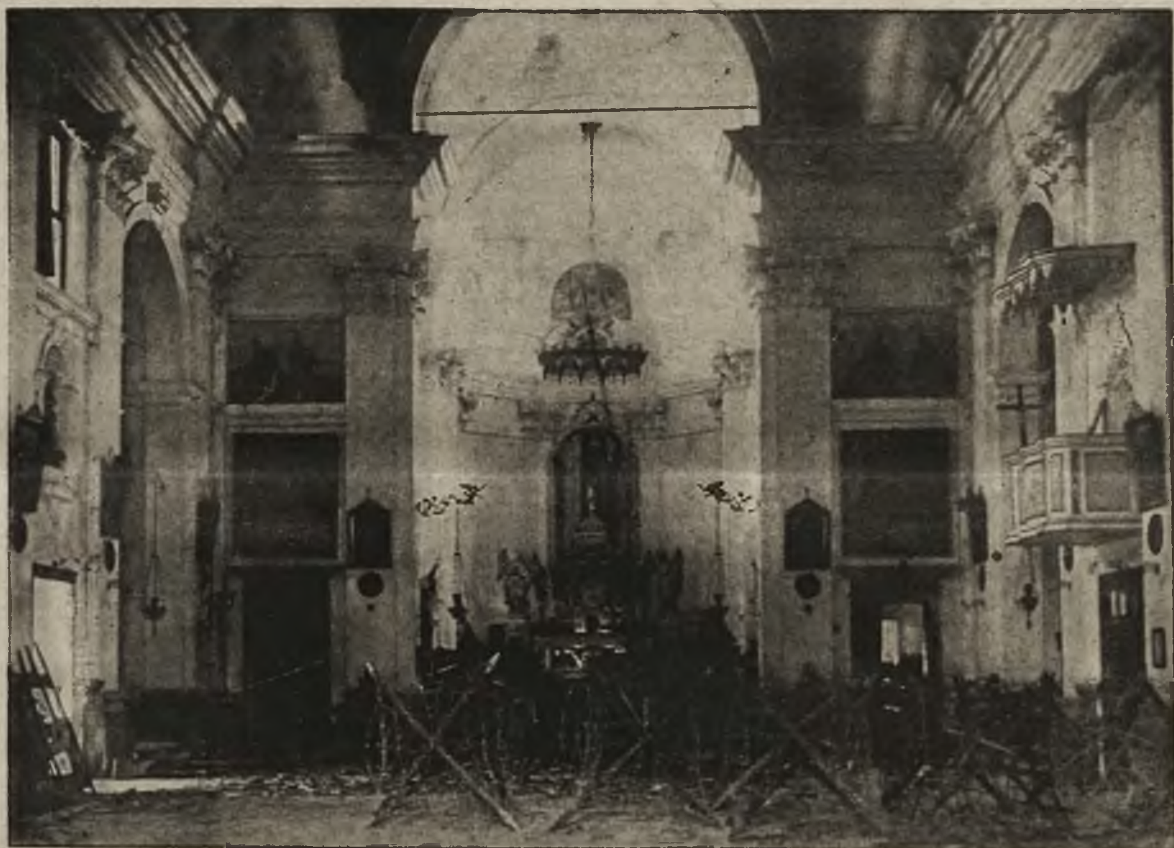
W odsłonięciu pięknego pomnika, poświęconego pamięci poległych, wzięło też udział wielu uczestników, którzy ze łzą w oku wspominali przeżyte tu przed czterema laty chwile i nieszczęśliwych towarzyszy, których zwłoki kryje dziś zimna mogiła.



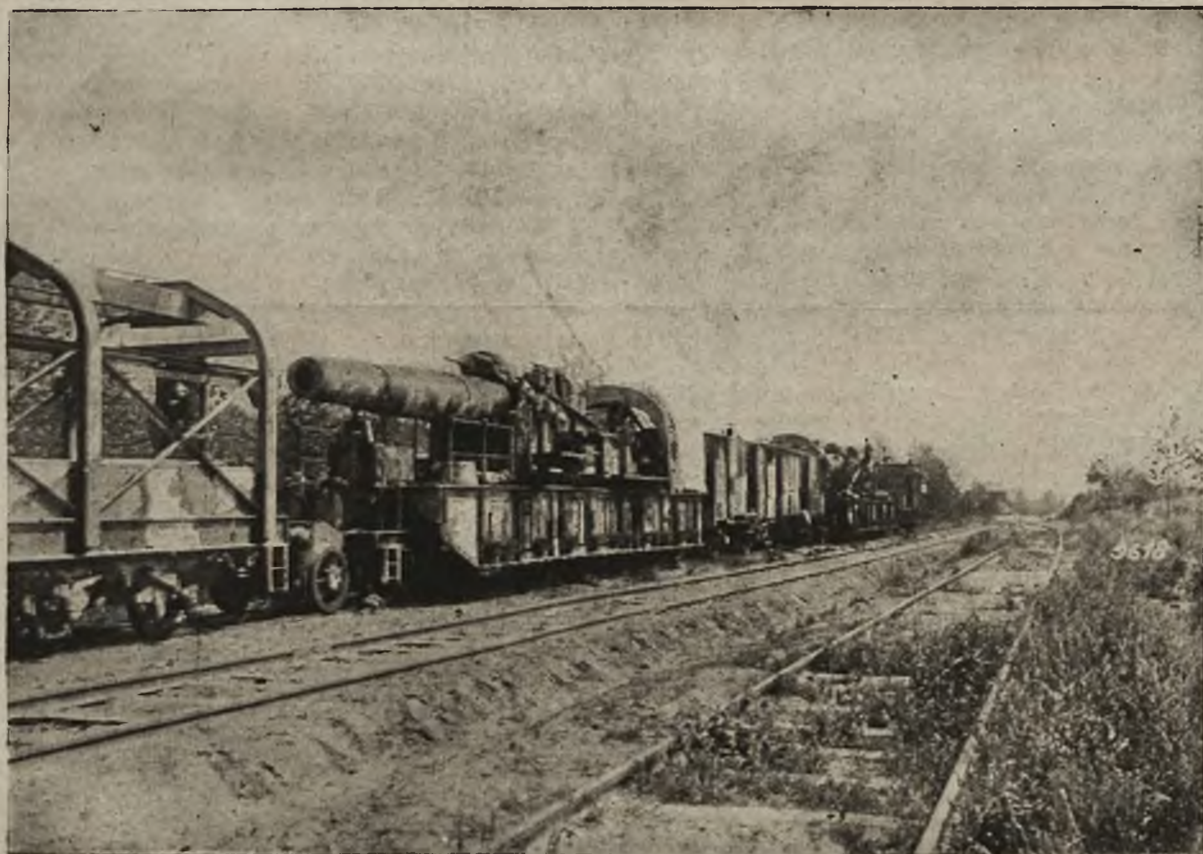
Ku czci poległych na polu walki: Uroczyste odsłonięcie pomnika na grobie poległych w r. 1914 oficerów i żołnierzy 32 pułku strzelców w Sandomierzu.

Ósma pożyczka wojenna.

Mocarstwa centralne, skazane przez koalicyę na zagładę i pozostawione same sobie, wykazały przecież w ciągu czterech lat wojny tyle sił żywotnych, że muszą im tego i wrogowie pozazdrościć. Nie mówiąc już o sukcesach na polu bitwy, gdzie na każdym prawie froncie osiągnięto stanowczą przewagę, wystarczy zwrócić uwagę na pożyczki wojenne, mające państwu przysporzyć środków do dalszego prowadzenia rozpoczętej akcyi, aż do jej ostatecznego a szczęśliwego zakończenia.



Z włoskiego frontu: Kościół w V.dor, zniszczony ogniem włoskich granatow. W. kw. pr



Szlakiem ofensywy niemieckiej na Zachodzie: Francuskie działa kolejowe, które brały udział w ostrzeliwaniu Laons i wyrządziły tam wielkie szkody. (Fot. Bufa.

Nie mogąc liczyć na obcą pomoc materyalną, zakołatano do serc obywateli i nie zawiedziono się bynajmniej. Dotychczasowe subskrypcye na siedm pożyczek wojennych przewyższyły nawet oczekiwania, z czego okazało się, że państwo i pod względem ekonomicznym jest silnem, a obywatele, wierząc w ostateczne zwycięstwo słusznej sprawy, spieszą mu chętnie z wydatną pomocą, sami przy tem odnosząc poważne korzyści, lokata bowiem kapitału w pożyczce wojennej jest nietylko pewną, ale i popłatną, czego najlepszym dowodem wysoki kurs, zwłaszcza pierwszych pożyczek, których obligi stały się papierami nadzwyczaj poszukiwanymi.

Wszelkie więc bajki, rozsiewane za granicą, o finansowej słabości państw centralnych i zniszczeniu wojną obywateli, okazały się wierutnym fałszem.

Obecnie znajdujemy się w okresie podpisywania ósmej pożyczki wojennej, której wynik powinien jeszcze przewyższyć poprzednie, zwłaszcza, że właśnie w tym czasie wiedzie się orężowi austryackiemu tak na południowo zachodnim jak i północnym froncie.

Aby obudzić zainteresowanie do subskrypcyi, chwycono się środka, który w Anglii przy podobnej sposobności wydał bardzo poważne rezultaty. Tam, celem propagandy użyto tanków, u nas ich miejsce zajęty trzydziesto i poł centimetrowe moździerze, tak chlubnie zapisane już na kartach dziejów toczącej się obecnie wojny. Akcyę rozpoczęto po porozumieniu się obu ministerstw skarbu, naczelnej komendy armii i ministerstwa wojny, a użyto w tym celu dwa moździerzy, które rozpoczęły objażdżkę po wszystkich większych miastach monarchii.

W dniu 11 czerwca b. r. przybył jeden z tych moździerzy do Krakowa i rozpoczął objażdżkę po pryncypalnych ulicach miasta. Towarzyszyła mu pełna orkiestra czwartego pułku piechoty i oddział żołnierzy tegoż pułku. Następnego dnia ustawiono moździerz przed odwachem na Rynku, gdzie, wobec tłumów zebranej publiczności, odbyła się demonstracya potężnego działa i zajmujące ćwiczenia.

Przeprowadzaniem połączonych z tą podróżą zarządzeń, jak również i przyjmowaniem zgłoszeń udziałów zajął się Fundusz wdów i sierot po wojskowych, którego prezesem jest były komendant krakowskiej twierdzy, jenerał zbrojmistrz Karol Kuk.

Warto także zaznaczyć, że trzydziesto i pół centimetrowe moździerze okryły się sławą nietylko na najważniejszych polach bitew, ale przyczyniły bardzo wydatnie i do obrony Krakowa w czasie inwazyi rosyjskiej w Galicyi, a następnie przy wypędzaniu wroga z naszego kraju.

Kronika tygodniowa.

Omawiając w poprzedniej kronice starania poszczególnych jednostek i całych ich zespołów o poprawę bytu materyalnego, przyczem niejednokrotnie stosować się musi tak radykalne środki, jak strejki, ani nawet nie przypuszczałem, że w najbliższym czasie grozi nam nowe bezrobocie, ale na tle zupełnie innem, niż, dajmy na to, drukarskie.

W samem zakończeniu, które jednak zwykłym rzeczy porządkiem z powodu braku miejsca nie ujrzało zupełnie światła dziennego, zauważyłem, iż jedynym środkiem zaradczym, celem uchronienia się od najrozmaitszych strejków, jest założenie dla nich odpowiedniej centrali. Wiadomo powszechnie, że wszystko, do czego się tylko weźmie tego rodzaju instytucya, ginie nagle z widowni, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tak uczyło nas dotychczasowe doświadczenie Tymczasem obecnie pokazuje się, że może być i odwrotnie, to jest, że właśnie powołanie do życia centrali będzie powodem bezrobocia, w tym wypadku przecież takiego, które nam może wyjść tylko na dobre.

Mam tu na myśli nie centralę dla łapania much, albo myszy i szczurów, o czem już przed kilku tygodniami wspominałem, ale tak zwaną centralę aptekarską, mającą za zadanie równomierny rozdział środków leczniczych między wszystkie łacińskie kuchnie monarchii. Ponieważ następstwem powołania jej do życia musi być brak zupełny tychże środków, jeżeli *nota bene* pójdzie wszystko zwykłym rzeczy porządkiem, panowie pigularze będą musieli rozpocząć przymusowe bezrobocie, zamknąć lokale i wywiesić na ich drzwiach napis: „Zamknięte z powodu braku materyałów".

Konsekwencyą będzie i bezrobocie lekarzy, trudno bowiem ordynować chorym jedynie kwaśne mleko i świeże powietrze, zwłaszcza, jeśli tak o jedno, jak i drugie, dziś trudno.

Ludziska będą więc *eo ipso* zmuszeni odzwyczaić się od chorowania, co im może tylko wyjść na zdrowie i przyczynić się do zmniejszenia rubryki wydatków domowych.

Wypoczynek wojenny czeladzi Eskulapa pociągnąć musi za sobą zastój w przemyśle trumniarskim, karawaniarskim i innych „pogrzebaczów". Miejski Urząd zdrowia będzie mógł rozpocząć równocześnie wakacye, a Biuro statystyczne magistratu, któremu odpadnie najważniejsza rubryka „Ruch umarłych", także sobie odpocznie.

I to, wszystko razem wziąwszy pod uwagę, może być uważanem za jedno z dodatnich następstw obecnej wojny.

Czy jednak będzie tak, jak sobie to kronikarz wyobraża, trudno przewidzieć z góry, wszelakie centrale mają to bowiem do siebie, że, dzięki im właśnie, dzieje się akurat zupełnie przeciwnie, niż nakazuje normalny bieg rzeczy.

Pismo Święte uczy nas, że na początku był chaos, a potem stworzył Pan Bóg świat, gdy tymczasem obecnie, dopiero po powołaniu do życia jakiejś centrali, rozpoczyna się chaos, na którym nikt się wyznać nie potrafi, choćby nawet był filozofem i to nie bylejakim.

Przykład mamy na rozmaitych centralach, już funkcyonujących, będziemy go mieć i na innych, które jeszcze powstaną, czego się spodziewać należy, gdyż obecna wojna jakoś nie ma ochoty się skończyć i maluczko, a doczekamy się piątego roku rządów Marsa nad światem.

Nie można przecież tak w czambuł potępiać centrali. Mają one i swoje dobre strony, ale tylko dla jednostek, którym udało się przy nich uwiesić. I im samym dobrze się dzieje i ich rodzinom także, utsrło się nawet już przysłowie: „Kto ma pana lub panią z centrali w rodzie, temu bieda nie dobodzie".

Ogół na nie przecież narzeka i ma racyę, że tak czyni, na jego bowiem niewinnej skórze odbijają się fatalnie ich praktyki. Dość wspomnieć chyba centralę zbożową, która dopóki funkcyonowała tak, jak jej kazano, stała się powodem prawie zupełnego braku mąki i chleba, choćby tylko w Krakowie, gdy zaś nieco popuściła i mąka jest i chleba nie braknie, choć na samo wspomnienie cen tych niezbędnych do życia artykułów spożywczych aż włosy stają dęba na głowie nawet u tych, którzy są zupełnie łysi.

A łysym być dziś warto. Idąc za ogólnym prądem i panowie golibrodzi podnieśli także ceny operacyi, dokonywanych w swych oficynach, motywując krok ten wzmagającą się coraz bardziej drożyzną. Mają racyę, przyznać im trzeba, nam zaś, zwykłym śmiertelnikom, nie mogącym do tego znaleźć sposobności, a skazanym na coraz to większe wydatki, nie pozwalające na związanie końca z końcem w budżecie domowym, nie pozostaje nic innego, jak zapuszczenie brody i fantastycznej czupryny, przywileju dotąd poetów i artystów.

Ale i na tem można wyjść dobrze. Po wojnie, gdy ceny spadną, każe się człowiek ogolić i ostrzydz, by być znowu podobnym do ludzi, z włosów zaś, w ten sposób uzyskanych, o ile ich tymczasem jaka nowa znowu centrala nie zarekwiruje, każe sobie zrobić ma terac, by na niem wypoczywać i śnić o przeżyciach wojennych.

Mickiewicz, w swym „Powrocie taty", charakteryzując bandytów słowami:

„Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa..."

ani nawet nie przypuszczał, że zupełnie tak samo za lat kilkadziesiąt będą wyglądać spokojni i poważni obywatele, płacący regularnie podatki i subskrybujący pożyczkę wojenną a to właśnie dzięki tylko tej wojnie, prowadzonej, jak się mówi, w imię cywilizacyi i wolności narodów.

I druga część przytoczonej wyżej zwrotki odnosić się może do obecnych czasów:

„Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława".

Dziś wprawdzie nawet zawodowy bandyta nie stroi się tak fantastycznie, jak to było dawniej w modzie, mimo to bandytów, dybiących na mienie, a nawet życie bliźnich, nie brak. Nie posługują się oni jednak tak prymitywnemi narzędziami rozboju, jak przed stu laty, stosując najnowsze zdobycze wiedzy technicznej przy prowadzeniu swego rzemiosła. Wiedzie im się też wcale nie najgorzej, a rubryka: „Kradzieże i włamania" w pismach codziennych wzrasta z dnia na dzień.

W okresie grożącego nam zamknięcia twierdzy i konieczności wykazania się pewnym zapasem artykułów spożywczych, przeznaczonych na czarną godzinę, na największe niebezpieczeństwo narażone były zapasy żywności. I dziś, gdy aprowizacya bynajmniej się nie poprawiła, nie gardzą nimi panowie złodzieje, pierwszeństwo natomiast oddając wszelkiemu materyałowi ubraniowemu, nie mającemu wprost ceny. Najponętniejszą zaś zdobycz stanowi tytoń, cygara i papierosy, które również tu i ówdzie zmagazynowano. Szukają przytem przedwojennych, wiedząc o tem z doświadczenia, iż wydawane obecnie niewiele wartają.

Opowiadają, że gdzieś tam w świecie jest, czy była miejscowość, w której żyli tak uczciwi ludzie, iż żaden z mieszkańców nie byłby się złakomił na cudzą własność. Gdy kto zgubił na publicznem miejscu pugilares lub coś kosztownego, mógł być pewnym, że i po tygodniu znajdzie swą zgubę na tem samem miejscu, nie spieszył się też z jej szukaniem, zwłaszcza, jeśli miał tymczasem coś ważniejszego do załatwienia

Coś podobnego będą sobie ludzie po wojnie opowiadać i o Krakowie.

Zdarzyło się mianowicie w ubiegłym tygodniu, iż na skręcie ulicy Karmelickiej w boczną, wiodącą ku fabryce cygar, zepsuło się koło u wozu, na którym transportowano zapasy „tytoniowe", a worki z tak cennym materyałem znalazły się na bruku. Ponieważ wiadomo, jak obecnie w Krakowie o „paliwo" trudno, każdy z P. T. Czytelników zapewne przypuszcza, że w okamgnieniu rzucili się na zdobycz uliczna tłuszcza i rozchwytała ją pospiesznie...

Jeśli tak kto sądzi, to się myli!... Nikt po cudzą własność nawet się nie schylił, zwłaszcza, gdy się przekonano, że we workach były... liście bukowe, mające zastąpić tytoń.

Stali ludzie i patrzyli, wóz naprawiono, worki napowrót załadowano i odwieziono na miejsce przeznaczenia, skąd ich zawartość, już pod mianem tytoniu rozeszła się w świat, na razie jeszcze bez kartek.

Fakt ten musi świadczyć dodatnio o niższych sferach ludności Krakowa, umiejących przecież uszanować cudzą własność i może i powinien być przeciwstawionym narzekaniom, że moralność u nas, dzięki wojnie, bardzo nisko upadła.

Kronikarzowi, jak dotąd, nic jeszcze nie skradziono, zdaje mu się nawet, że złodziej, któryby się wybrał doń w podobnym zamiarze, doznałby przykrego rozczarowania, nie mając stąd co zabrać. Jedynym mym skarbem jest Weronika, ale o nią nawet zawodowy bandyta się nie pokusi. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże", powiada przysłowie, ja też na wszelki wypadek kazałem ponaprawiać zamki u drzwi i ubezpieczyłem swe ruchomości, więc i mój skarb jedyny między niemi, na kilkanaście tysięcy. Włamywacz, choćby nawet i odwiedził me niskie progi, nie wyrządzi mi więc zbytniej krzywdy.

Jeśli złodzieje wszelkiego rodzaju grasują, a działalność ich staje się coraz bardziej ożywioną, to tylko jeden dowód więcej, że i oni odczuwają potrzebę poprawy bytu materyalnego do czego drogą bezrobocia nigdy nie potrafiliby dojść, choćby byli najlepiej zorganizowani.

Takie bezrobocie byłoby przecież bardzo pożądanem, a szłoby na rękę głównie policyi, nie mającej wprost czasu na to, by się módz energicznie zająć każdą kradzieżą. Nawet znana zaszczytnie Aida narzeka już na przeciążenie pracą. *Ergo*, czas najwyższy, by wymyślić jakąś złodziejską centralę, a wówczas kradzieże może ustaną.

Skoro już i w tej kronice wspominam o bezrobociach, niech mi wolno będzie zaznaczyć, że dla ogółu byłby bardzo sympatycznym straj sekwestratorów, egzekutorów i innych im podobnych funkcyonaryuszy. Niech sobie będzie na tle, na jakiem sami zechcą, jak na przykład trumniarzy i karawaniarzy, o czem było wyżej, czy też, by sobie w ten sposób wywalczyć poprawę bytu materyalnego. I oni sami wówczas odetchną, mogąc odpocząć po swej ciężkiej pracy, odsapnie też i ogół, uwolniony bodaj na krótki czas od nękającej go zmory.

Niestety, jak mi się zdaje, do takiego strajku nigdy nie dojdzie. Sruba podatkowa jest w samej rzeczy śrubą bez końca, a ci, którzy ją przykręcają, tak są tą pracą zajęci, że nie mają nawet czasu myśleć sami o sobie Ten dowód samozaparcia się zasługuje w całej pełni na uznanie i stanowić powinien dla innych pracowników przykład, godny naśladowania.

Widząc, że miejsca może mi braknąć na tak ważną rzecz, jak wzmianka o pogodzie, o czem już dawno nie nie pisałem, wprost z egzekutorów i służby podatkowej przechodzę na świętego Medarda, który, jeśli się w swój dzień imienin rozczuli, lubi płakać przez dni czterdzieści. Tak przynajmniej utrzymują niekoncesyonowani meteorologowie. W roku bieżącym dzień 8 czerwca był u nas pogodny aż do samego wieczora. Wówczas spadł deszcz, ale taki, który się w Krakowie nazywa „magistracki", ma bowiem tylko wyręczyć Zakład czyszczenia miasta w polewaniu ulic i placów. Ale ponieważ w dniu krytycznym deszcz padał, codziennie go się spodziewamy i choć ani jednej chmurki nieraz nawet nie uwidzi na nieboskłonie, każdy wychodząc z domu, bierze ze sobą parasol, gdyż nikt nie jest pewnym ani dnia ani godziny, w której otworzą się niebieskie upusty.

Ponieważ jednak wszystko teraz dzieje się na świecie, dzięki wojnie, na opak, być więc może, że i święty Medard zmienił swe zasady i właśnie dlatego, że w dzień jego imienin mieliśmy deszcz, przez dni czterdzieści cieszyć się będziemy stałą pogodą, czego pożądają zwłaszcza ci, którzy mają ochotę wybrać się na willegiaturę.

Kronikarz będzie się w tym czasie pocił w Krakowie i przygotowywał do swojego jubileuszu, o którym gdy będzie po temu pora, P. T. Czytelników nie zapomni zawiadomić.

Naturalnie o jakimś hucznym jubileuszu ze względu na czasy wojenne kronikarz bynajmniej nie myśli nie wymaga też, by mu może postawiono pomnik, na co będzie dość czasu po jego najdłuższem życiu i po zawarciu pokoju, gdy potanieją materyały budowlane. Potomność oceniając w ten sposób jego zasługi, położone zwłaszcza *tempora belli*, sama na tem wyjdzie najlepiej, nie narażając zbytnio swej kieszeni, gdy natomiast dziś, chcąc się do tego zabrać, musiałoby się przezwyciężyć najrozmaitsze trudności i, kto wie, czy nie byłoby się zmuszonym urządzić w tym celu „dzień kwiatka".

A trzeba przyznać, że owych dni mamy w tym roku aż za dużo. Weszły już w modę kwiatki niedzielne, świętalne i powszednie. Na ulicy nie można się wprost pokazać, by na każdym kroku nie usłyszeć brzęku puszki i słodkiego dyszkantu:

— Panie!... Bodaj dziesięć halerzy na biednych!...

W dawnych czasach prześladowały nas festyny na cele dobroczynne, ale na nie szedł, kto miał ochotę, dziś dają się we znaki dni kwiatka.

Kronikarz, aby się obronić przed kwestarkami, ma zamiar sprawić sobie także puszkę i będzie z nią chodzić po ulicach. Włoży ktoś co do niej, to dobrze, nie włoży, to się obejdzie, ale przynajmniej nikt go nie będzie zatrzymywał właśnie wtedy, gdy mu się spieszy, doświadczenie zaś uczy, że taka puszka jest najlepszym środkiem ochronnym, żaden bowiem i żadna z kwestujących sami nic nie dają, tłumacząc się że oni przecież poświęcają swój czas, zdrowie i siły na cele dobroczynności publicznej, więc są *eo ipso* uwolnieni od datków w gotowiźnie.

Kto wie, czy nie mają racyi i zapewne dlatego tyle puszek kręci się w każdy „dzień kwiatka" po mieście.

I „dni kwiatka" należałoby wobec tego scentralizować, a mielibyśmy może spokój. Kto ma ochotę i środki, da i bez nawoływań, kto ma pustki w kieszeni, ten pozostanie głuchym i na najgłośniejsze brzękanie puszką dobroczynnej damy!...

Z tygodnia.

Sprawa polska w Sejmie węgierskim.

W sejmie węgierskim wystosował hr. Bathyany do prezydenta ministrów interpelacyę, jakie stanowisko zajmuje rząd węgierski w sprawie rozwiązania kwestyi polskiej, tudzież czy prawdziwą jest rozszerzana w Austryi wiadomość, iż ma być przedłożony parlamentowi austryackiemu projekt ustawy mocą którego ma być utworzona w ściśle zakreślonym terminie osobna prowincya wschodnio-galicyjska. Z uwagi na okoliczność, że utworzenie osobnej prowincyi wschodnio-galicyjskiej nie da się pogodzić ani z interesami polskimi ani austryackimi, zapytuje hr. Bathyany prezydenta ministrów, czy poczynił kroki, by planowi temu zapobiedz.

W odpowiedzi na powyższą interpelacyę prezydent ministrów, dr. Wekerle, wyraził na wstępie ubolewanie, że interpelant „poddał szczegółowej krytyce postępowanie rządu niemieckiego w okupowanej prowincyi, że postępowanie obcego państwa, a do tego państwa sprzymierzonego, zostało w taki sposób poddane krytyce na podstawie jednostronnych informacyi“, a dalej oświadczył między innemi:

„Jakiemikolwiek mogłyby być nasze sympatye dla Polaków, pozostanie faktem historycznym i nie może to być zaprzeczonem, że oswobodzenie Polski, któregośmy sobie i my życzyli, należy zawdzięczać współdziałaniu broni naszej i broni sprzymierzonej. To jest faktem.

My byliśmy pierwszymi, którzy wraz z naszymi sprzymierzeńcami proklamowaliśmy utworzenie państwa polskiego. Zajęliśmy stanowisko, które także i dziś jeszcze zajmujemy, że decydujące rozstrzygnięcie o przyszłym losie państwa polskiego przysługuje narodowi polskiemu samemu. Nie tylko rząd węgierski ale także cały naród węgierski wita rozwój narodu polskiego i zamanifestowanie i wzmocnienie jego życia politycznego w postaci tworu państwowego. Naród węgierski daje też wyraz radości z tego powodu, że uda mu się wejść w ścisłe stosunki z narodem, z którym pozostawał w łączności przez całą swą przeszłość.

Co do rozwiązania kwestyi polskiej wyłoniły się najrozmaitsze zapatrywania i to nie tylko w Niemczech, gdzie Niemcy oficyalnie jeszcze wcale się nie oświadczyły, lecz także i u nas jak tego dowodem jest zresztą sam interpelant, a niemniej także wśród samych Polaków. Sprawa ta znajduje się jeszcze w stadyum, że ani my ani Niemcy nie zaznaczyliśmy jeszcze naszego stanowiska.

Co do sprawy ukraińskiej ograniczył się dr. Wekerle do oświadczenia, że traktat z Ukrainą nie został jeszcze ratyfikowany. Jak wynika z tej odpowiedzi, na zapytanie w sprawie utworzenia osobnej „prowincyi wschodnio-galicyjskiej“ nie dał dr. Weckerle odpowiedzi.

„Pesti Hirlap“ podaje ciekawe szczegóły dyskusyi w sprawie powyższej interpelacyi. Poseł hr. Batthyany oświadczył między innemi:

Cieszy mnie orzeczenie partyi pracy, że utworzenie Królestwa Polskiego ważne jest i z tego powodu dla Węgier i Austryi, ponieważ będą miały one możność wspólnie z Polakami przeciwstawić się niebezpiecznemu na przyszłość rozrostowi Niemiec i Rosyi.

Jak ostatnie wiadomości głoszą, jest zamiar połączenia ściśle kwestyi polskiej z pogłębieniem sojuszu z Niemcami. Prowadzi się walkę posuniętą do ostatnich granic przeciw przemysłowi Europy środkowej, a to z punktu widzenia ochrony niezależności gospodarczej. Wiele błędów popełniono w dziedzinie polskiego przemysłu. Niemcy w najzwyczajniejszy sposob zarekwirowali urządzenia przemysłowe i produkty surowe fabryk polskich i wysłali do Niemiec.

Poseł Lovaszy M'arton: Niemiecki zwyczaj!

To się nazywa oswobodzenie!

Hr. Battnyany: Według nieścisłych obliczeń wywieziono urządzeń fabrycznych za dwa i pół milionów. Polskich robotników pociągnięto do pracy przymusowej, w sprawach oświaty zaś rozpoczęto germanizacyę. Zamknięto nadzwyczaj ściśle gospodarczą granicę między Warszawą a Lublinem, jak również komunikacyę kolejową prywatną. Członków Legionów polskich przebrano w ciężkie mundury niemieckie. Jedynie wskazanem rozstrzygnięciem kwestyi polskiej jest związanie Królestwa Polskiego w unię personalną z nami, pod panowaniem naszego króla. Trzeba dać Polakom zupełną niezależność państwową.

ODEZWA!

Żołnierze nasi wracają z niewoli w stanie wielkiego opuszczenia.

Powracający nie mają żadnej albo mają tylko tak podartą bieliznę, że może stać się rozsadnikiem robactwa i zaraźliwych chorób.

Leży w interesie ogólnego dobra, aby każdy wracający żołnierz został zaopatrzony jaknajrychlej w zdatną do użytku i pod względem hygienicznym nienaganną bieliznę.

Ale pominąwszy nawet te względy, to zasługują chyba powracający żołnierze w pierwszej linii na to, aby im jaknajrychlej umożwić znowu ludzką egzystencyę.

Wobec dotkliwego braku materyałów tkackich i wzmożonego zapotrzebowania naszej armii zarząd wojskowy nie jest w stanie postarać się obecnie o dostateczną ilość bielizny dla wracających żołnierzy.

Urząd opieki wojennej zwraca się tedy do tych kół ludności, które rozporządzają jeszcze w swem gospodarstwie pewnymi zapasami bielizny i mogą ofiarować na wspomniany cel jakąś zbyteczną sztukę bielizny wymienionego poniżej rodzaju.

Zbiórka dotyczy wyłacznie męskich koszul i kalesonów zdatnych do użytku i oczyszczonych.

Ponieważ nie jest rzeczą wykluczoną, że z powodu coraz większego braku bielizny dla zaopatrzenia ludności i dla pokrycia zapotrzebowania wojskowego będzie potrzeba w przyszłości przzstąpić do częściowej rekwizycyi zapasów bielizny w domach lepiej w nią zaopatrzonych, przeto zostaną wydane zarządzenia w tym celu, aby odnośne zapasy tych osób, które wzięły udział w zbiórce bielizny dla powracających żołnierzy przez darowanie lub sprzedanie poszczególnych sztuk, zostały od tej rekwizycyi uwolnione.

W tym celu każdy, kto z jednego tuzina męskich koszul lub kalesonów jedną sztukę podaruje albo dwie sztuki sprzeda, otrzyma na to osobne potwierdzenie.

W razie sprzedaży zapłaci się za każdą zdatną do użytku koszulę męską 12 K a za każdą zdatną do użytku parę kalesonów 8 K.

Ofiary w bieliźnie będzie przyjmowało we Wiedniu biuro zbiorcze, IX., Währingerstrasse 32 (telefon 12367), poza Wiedniem będą ofiary przyjmowane przez wojskowe komendy stacyjne i komendy posterunków żandarmeryi, jak niemniej przez komitety lokalne.

Wiedeń, w maju 1918.

Seibt J. p., wlr.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.